

---

## **ROZBUDOWA KRAKOWA**

**Przejmujemy Kraków \* Seria nowych osiedli \* Spółdzielnie mieszkaniowe \* Dzielnica Bieńczyce \* Za dużo obowiązków**

Przewidywana dalsza rozbudowa dzielnicy Nowej Huty rodziła nowe poważne problemy infrastruktury komunikacyjnej i uzbrojenia terenu, które możliwe były do rozwiązania jedynie w skali całego Krakowa.

Właśnie w tym czasie, konkretnie oficjalnie od stycznia 1957 r., miasto Kraków otrzymało status wydzielonego województwa miejskiego, podobnie jak Warszawa i Łódź. W tej sytuacji władze nowego Województwa Krakowskiego zaanektowały dla swych potrzeb niektóre dotychczasowe służby ogólnowojewódzkie, w tym Krakowski Zarząd Budowy Osiedli Robotniczych „ZOR”.

Zgłosiliśmy więc propozycję przejścia inwestycji w całym Krakowie, zwłaszcza, że rysował się w najbliższych latach jakby „dołek” inwestycyjny w Nowej Hucie, a w konsekwencji również mniejszy zakres robót dla naszej Dyrekcji. Także ze względu na wspomniane powiązania dzielnicy z resztą Krakowa w zakresie infrastruktury technicznej.

Prezydium Rady Narodowej miasta Krakowa oczywiście propozycję skwapliwie przyjęło. Było to na pewno wyrażeniem uznania dla naszej dotychczasowej działalności inwestorskiej w Nowej Hucie ze strony władz Krakowa. Ale przede wszystkim zobowiązaniem nas do podobnej skutecznej działalności w całym 450-tysięcznym Krakowie.

W dzielnicy Nowa Huta nasza Dyrekcja była jedynym państwowym inwestorem. Należały do nas przygotowanie terenu, dokumentacji projektowej i nadzorowanie wykonawstwa wszelkich obiektów kubaturowych, uzbrojenia i urządzenia terenu, włącznie z liniami tramwajowymi, zielenią i tzw. małą architekturą na osiedlach.

W Krakowie inwestycje prowadzone były przez wielu inwestorów państwowych i komunalnych. Należały do nich Zakład Budowy Osiedli Robotniczych „ZOR”, Zarządy Budowy Szkół, Wyższych Uczelni, Dróg i Mostów, Zieleni Miejskiej i inne. Mieliśmy od nich przejąć wszelką działalność inwestycyjną z wyjątkiem inwestycji wyższych uczelni. Zakład „ZOR” przejmował natomiast wszystkie inwestycje w województwie krakowskim, zaś w gestii poszczególnych zarządów pozostawały już tylko eksploatacja, konserwacja i remonty obiektów określonej branży.

Rozszerzenie naszego terenu działania na cały Kraków wiązało się oczywiście ze zmianą dotychczasowej nazwy Dyrekcji Budowy Miasta Nowa Huta na Dyrekcja Budowy Osiedli Robotniczych Kraków-Miasto. Struktura organizacyjna, skład osobowy i siedziba Dyrekcji pozostała tymczasem bez zmian. W najbliższych miesiącach został jedynie wzmocniony i rozbudowany Dział Prawno-Wyłączeniowy, gdyż problemy, związane z pozyskiwaniem terenów pod nowe osiedla mieszkaniowe w Krakowie, były znacznie bardziej skomplikowane aniżeli w Nowej Hucie.

Przed wszystkim zajęliśmy się ogólnomiejskimi problemami zaopatrzenia całego Krakowa w wodę pitną, budowy nowych kolektorów sanitarnych oraz powiązania komunikacyjnego Nowej Huty z Krakowem. Wszystkie te problemy zleciliśmy do branżowych biur projektowych, celem opracowania odpowiednich koncepcji projektowych. Ja się tymi sprawami bezpośrednio nie zajmowałem. Koncentrowałem się natomiast na sprawach budownictwa kubaturowego, w tym głównie mieszkaniowego.

W Krakowie były wtedy dwa duże rejony nowego budownictwa mieszkaniowego. Kończyła się realizacja osiedla Grzegórzecka, dla około 10 tysięcy mieszkańców, oraz trwały budowy osiedli Rydla i 18 Stycznia dla ok. 25 tys. mieszkańców w zachodniej części miasta, w rejonie ulic Smoluchowskiego, 18 Stycznia i Czarnowiejskiej. Dokumentacja projektowa dla tych trzech osiedli opracowywana była w Miastoprojekcie-Kraków, zaś generalne wykonawstwo sprawowało Krakowskie Przedsiębiorstwo Budownictwa Miejskiego. Inne osiedla mieszkaniowe, realizowane po wojnie w Krakowie, jak Bielany, Borek Fałęcki, Bronowice oraz największe z nich osiedle Mogiła były już ukończone wcześniej.

Do mnie należały przede wszystkim sprawy związane z programowaniem, planowaniem i przygotowaniem dokumentacji dla bieżących inwestycji. W przypadku osiedla Grzegórzecka sprowadzało się to tylko do przejścia dokumentacji na realizowane już tam obiekty, oraz przejścia kilkunastu rozproszonych parcel w rejonie ulicy Kotlarskiej, jakie potencjalnie można by wykorzystać na plombową zabudowę mieszkaniową.

Podobnie nieskomplikowanie przedstawiało się przejście dokumentacji dla budynków realizowanych na osiedlu Rydla. Było ich tam 18, wszystkie podobne, czterokondygnacyjne i 3-4 klatkowe, w zwartej zabudowie, przy czym teren pod osiedle w znacznej części był już wykupiony. Również budowa osiedla była bardzo zaawansowana i pamiętam tylko jeden problem techniczny z jakim się na tym osiedlu zetknąłem.

Osiedle ograniczone było od strony południowej przez rzeczkę Młynówkę Królewską. Płynęła ona stosunkowo wysoko, jakby usypanym korytem. Przy wykonywaniu wykopów ziemnych pod najbliższe budynki, woda z rzeczki przeciekała do wykopów. Doradziłem wykonanie na zagrożonym odcinku ekranu ilowego, czyli wąskiego przekopu, który wypełniony został ilem. Zabezpieczenie to w pełni spełniło swą rolę.

W latach 60. Młynówka Królewska została na całej swej długości w Krakowie skanalizowana i biegnie dziś nad nią asfaltowy deptak. Spacerujący nim nawet nie domyślają się, że poniżej płynie strumień wodny.

Jedynie budowa osiedla 18 Stycznia była znacznie bardziej skomplikowana pod względem inwestycyjnym. W części wschodniej i południowej osiedla istniała zwarta 3-6 kondygnacyjna zabudowa z okresu przedwojennego i z lat wojny, gdyż wybudowano wtedy kilkanaście bloków dla rodzin niemieckich. W tym rejonie nowe budownictwo ograniczało się do nielicznych plomb mieszkalnych oraz budowy szkoły podstawowej, przedszkoli i żłobków.

Natomiast w swej części zachodniej osiedle wchodziło na tereny pól uprawnych i wsi Bronowice. Bowiem ówczesny Kraków praktycznie kończył się w tym miejscu. Na zachód, w rejonie ulicy Bronowickiej, było jeszcze jedynie niewielkie przedmieście, zabudowane niskimi domostwami, rozproszonymi przy kilku gruntowych drogach, oraz budujące się właśnie nowe osiedle Rydla. Dziś trudno w to uwierzyć, gdy zwarta, wielkomiejaska zabudowa sięga jeszcze 4 kilometry w kierunku zachodnim.

Zapoznanie się z przejmowanymi osiedlami rozpocząłem od przestudiowania planów urbanistycznych i od wizji lokalnych. Obszedłem wszystkie place realizowanych już budów i tereny przyszłej zabudowy.

Na osiedlu 18 Stycznia znów, jak przedtem we wsi Mogiła, zobaczyłem drewniane, wiejskie chaty, kryte słomianą strzechą i bielone wapnem z dodatkiem niebieskiego barwnika. Nawiasem mówiąc, jedna z takich chat przez kilka lat sterczała później na trasie nowej ulicy Dzierżyńskiego (obecnej J. Lea) i trzeba było zrobić wokół niej prowizoryczny objazd, funkcjonujący do czasu, aż udało się przeprowadzić skomplikowaną procedurę wywłaszczeniową i wyburzyć chatynę.

Dla lepszego zapoznania się z topografią rozległego osiedla 18 Stycznia, dyr. Korbela zorganizował dla kierownictwa Dyrekcji przeloty nad miastem samolotem aero-

klubu krakowskiego. Ja leciałem 2-miejscowym, szkoleniowym górnopłatem, pilotowanym przez kpt. Augustynka, najlepszego pilota aeroklubu. Gdy samolot robił wiraże, pilot odwracał głowę, żeby zobaczyć jaka jest moja reakcja. Ale ja czułem się świetnie, nigdy nie odczuwałem lęku przestrzeni, zaś wszelkie zwroty i przeciążenia znosiłem bezproblemowo.

Natomiast gorzej było ze zorientowaniem się i porównaniem obserwowanego z góry terenu z rozłożonym na kolanach planem urbanistycznym. Za szybko bowiem zmieniał się, oglądany z nisko lecącego samolotu, krajobraz miasta. Mimo kilkakrotnych okrążeń, nie zdołałem zaobserwować dokładniej kilku interesujących mnie punktów i żałowałem, iż nie zabrałem ze sobą aparatu fotograficznego.

Począwszy od 1957 r. roczne plany inwestycyjne w zakresie budownictwa mieszkaniowego odnosiły się do całego Krakowa. Zlikwidowana została dotychczasowa odrębność nakładów finansowych i zadań rzeczowych dla Nowej Huty i Krakowa. Osobiście jednakże nadal przez kilka najbliższych lat prowadziłem wszystkie roczne zestawienia finansowe oraz harmonogramy rzeczowe w piętrowych podziałach wg Krakowa i Nowej Huty, wg izb oddawanych i w stanach surowych oraz w rozbiciu na generalnych wykonawców.

Na najbliższe lata 1957-60 rysowała się wyraźna tendencja zmniejszania się nakładów i efektów rzeczowych w dzielnicy nowohuckiej, przy równoczesnym wzroście tychże na osiedlach krakowskich. W tej sytuacji zaistniała pilna konieczność zaangażowania na terenie Krakowa części potencjału wykonawczego Przedsiębiorstwa Budownictwa Miejskiego „Zetbeem” w Nowej Hucie, i to jeszcze w 1957 roku.

Uzgodniliśmy więc wspólnie z Miastoprojektem i obu przedsiębiorstwami, że KPBM-Kraków będzie kontynuować w pełnym zakresie budowy osiedli Rydła, Grzegórzki oraz część wschodnią os. 18 Stycznia. Natomiast dla PBM-Nowa Huta przypadła zachodnia część tego osiedla. Podział podyktowany został głównie tym, iż w zachodniej części osiedla możliwe było zastosowanie uprzemysłowionych metod budownictwa i był jeszcze czas na adaptację, względnie opracowanie nowej stosownej dokumentacji projektowej. Faktycznie w krótkim terminie kilku miesięcy Miastoprojekt przygotował projekty techniczne na budowę pierwszych 5-kondygnacyjnych budynków z prefabrykowanymi płytami stropowymi i kłatkami schodowymi, czyli w I stopniu uprzemysłowienia.

Niebawem przedsiębiorstwo nowohuckie z rozmachem weszło na nowe place budów przy ulicy Smoluchowskiego, instalując tam kilka swych samojezdnych żurawi budowlanych. Odmieniły one już na stałe także krajobraz budowlany Krakowa. Przedsiębiorstwo krakowskie nie posiadało bowiem jeszcze wtedy torowych dźwigów montażowych i wszystkie swe budowy realizowało nadal metodami tradycyjnymi, stosując do transportu pionowego materiałów jedynie drewniane windy szybowe.

Zastosowanie nowej technologii budowy domów mieszkalnych na osiedlu 18 Stycznia pozwoliło też na pewne skrócenie cykli budowlanych. Czas realizacji kilku-kłatkowego 5-kondygnacyjnego budynku mieszkalnego skrócił się do 6-10 miesięcy. A więc wreszcie tempo i rozmach budowlany stały się udziałem także starego Krakowa.

Przed miastem zarysowała się bliska perspektywa znacznego ożywienia inwestycyjnego i szansa na szybką, poważną rozbudowę. Planowaliśmy całkowite ukończenie osiedli Grzegorzeczka i Rydła do 1958 r., zaś os. 18 Stycznia miało być głównym zagłębiem budowlanym do 1961 roku. Ale nie wystarczało ono na wypełnienie całych rocznych planów izbowych. Tak więc należało pilnie uruchomić budowy dalszych osiedli, na których, poczynając już od 1959 r., można by uzyskiwać po 2,5 - 3 tysięcy izb rocznie. Takimi osiedlami miały być, w pierwszym rzucie, nowe osiedla Nowa Grzegorzeczka,

Podgórze, Prądnicka, Wieczysta i Olsza II.

Zwykle nowe osiedla krakowskie nazywane były tak samo, jak dominująca w danym rejonie ulica. Tak było także w przypadku os. Nowa Grzegórzecka, przy czym istniała wówczas jedynie wytyczona trasa przyszłej ulicy, zwanej roboczo Nowa Grzegórzecka, a faktycznie po jej realizacji nazwanej Aleją Pokoju.

Natomiast osiedle Podgórze wzięło nietypowo swą nazwę od całej Dzielnicy Podgórze. Później nazywano je osiedlem Przy Rondzie Matecznym, tyle, że tego ronda, w czasie budowy osiedla, jeszcze nie było.

Podobnie os. Olsza II to fragment większego zespołu osiedli Olsza. Winno więc raczej nazywać się ono Młyńska lub Miechowity, bo przy tych ulicach jest właśnie położone. Ale nazwy ukształtowane historycznie powinno się przyjmować w ich pierwotnym brzmieniu, a nie zmieniać ex post, jak to zwykli czynić różnego rodzaju rewolucjoniści wszechczasów.

W pierwszej kolejności zajęliśmy się przygotowaniem terenu i dokumentacji projektowej dla osiedli Nowa Grzegórzecka i Podgórze, na których już w 1958 r. przewidywaliśmy uzyskanie pierwszych efektów izbowych. Całość tych prac przygotowawczych obejmowała opracowanie założeń programowo-inwestycyjnych, projektów urbanistycznych, technicznych projektów realizacyjnych na poszczególne obiekty oraz wywłaszczenie i wykup terenu, a także przeprowadzenie rozbiórek istniejących szop, ogrodzeń, sieci, wycięcie drzew itp., przewidzianych planem urbanistycznym do likwidacji.

Bardzo szybko opracowane zostały przez Dyрекcję założenia programowe, natomiast przez Miastoprojekt wstępne plany urbanistyczne dla obu osiedli. Najwięcej problemów nastręczyło uzgodnienie i rozwiązanie zasilania osiedli w energię elektryczną, wodę, gaz i podłączenie do miejskiej sieci kanalizacyjnej.

Przeprowadzono też w przyspieszonym tempie odpowiednie badania geologiczno-inżynierskie terenów zainwestowania. Wykazały one, że w obu przypadkach mieliśmy do czynienia ze stosunkowo niekorzystnymi warunkami geologicznymi. To zresztą tłumaczyło fakt nie zabudowania wcześniej tych terenów, mimo ich centralnego położenia w mieście. Tym problemem zająłem się osobiście, tworząc w Dyrekcji zespół kosztorysowy do przeanalizowania wszelkich możliwych alternatyw posadowienia budynków w określonych warunkach geologicznych.

Przeprowadzone zostały obliczenia zastosowania optymalnej wysokości budynków i ich posadowienia przez wymianę nienośnego gruntu, lub na palach wierconych, względnie wbijanych. Dla osiedla Podgórze najkorzystniejszym okazało się zastosowanie wierconych pali typu Wolfsholza, zaś dla części północnej osiedla Nowa Grzegórzecka wymiana gruntu na głębokości do 3 metrów i wykonania poduszki żwirowopiaskowej pod fundamenty. Ostatecznie jednak na tym osiedlu posadowiono budynki na studniach betonowych według oryginalnego projektu racjonalizatorskiego inż. Szokałskiego, pracownika PBM-NH.

Nie mieliśmy wtedy technicznych, jak również finansowych możliwości dowolnego stosowania różnych typów pali, gdyż nie było w Krakowie żadnych wyspecjalizowanych przedsiębiorstw wykonawczych. Podjąłem więc decyzję, że na okres kilku lat wszędzie na nowych osiedlach, gdzie będzie konieczne specjalne posadowienie budynków, stosowane będą jedynie pale Wolfsholza o średnicy 40 cm, studnie Szokałskiego, lub wymiana gruntu, w zależności od głębokości zalegania warstw nośnych na danym terenie.

Po tym ustaleniu PBM-NH zorganizowało własną brygadę do robót palowych, zakupując odpowiednie rury, sprzęt wiertniczy i wysyłając ludzi na Śląsk, celem ich przeszkolenia w wykonywaniu pali wierconych. Od tego czasu nie było już żadnych kłopotów i problemów ze specjalnym posadowieniem nowych budynków, przy czym złe warunki

gruntowo-wodne wystąpiły jeszcze np. na osiedlach Wieczysta, Dąbie i Kotlarska.

Na osiedlu Podgórze wszystkie wolnostojące bloki mieszkalne zaprojektowane zostały jako 5-kondygnacyjne w technologii uprzemysłowionej I stopnia. Przyjęto w tych budynkach poprzeczny układ konstrukcyjny wg powtarzalnych segmentów, realizowanych na osiedlach „D” w Nowej Hucie.

Jedynie kilka budynków plombowych zaprojektowanych zostało w technologii tradycyjnej i wysokości 4-kondygnacji, jak istniejąca zabudowa. Łącznie osiedle liczyło ponad 2100 nowych izb mieszkalnych.

Również na osiedlu Nowa Grzegórzecka większość wolnostojących budynków zaprojektowanych zostało według segmentów nowohuckich w I stopniu uprzemysłowienia i wysokości czterech kondygnacji. Tylko 8 plombowych budynków, projektowanych w istniejącej zabudowie, przewidywano do realizacji tradycyjnymi metodami. W części północnej osiedla urbanista zaprojektował jeszcze po trzy duże budynki 7 i 12-kondygnacyjne. Łącznie osiedle liczyło około 4000 nowych izb mieszkalnych.

Do końca 1957 r. mieliśmy na obu osiedlach przygotowany teren i kompleksową dokumentację projektową na pierwsze obiekty planowane do realizacji. Wykonawcy mogli więc z początkiem 1958 r. przystąpić do budowy tych osiedli, przy czym os. Podgórze przypadło przedsiębiorstwu KPBM-Kraków, zaś Nowa Grzegórzecka PBM-Nowa Huta. Rzecz jasna przedsiębiorstwo krakowskie od tego czasu również wyposażone zostało w torowe żurawie budowlane.

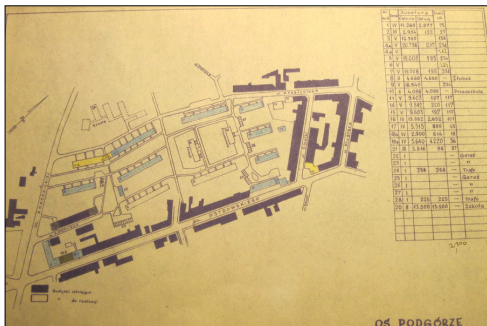
Realizacja obu osiedli rozpoczęła się od budynków plombowych, z których część została ukończona i oddana do użytku już w 1958 roku. Zaś w następnym roku na os. Podgórze przekazanych zostało do zamieszkania ponad 1400 izb, a na os. Nowa Grzegórzecka 700 izb mieszkalnych.

Od początku swej działalności na terenie Krakowa postawiłem sobie ambitne zadanie wyeliminowania sukcesywnej dostawy dokumentacji projektowej dla wykonawców, przekazywanej w czasie trwania budowy. Taka ratalna dostawa dokumentacji była zawsze poważnym utrudnieniem dla przedsiębiorstw wykonawczych i wymagała uciążliwej koordynacji terminów opracowania poszczególnych fragmentów projektów z terminami zamówień i dostaw materiałowych oraz z harmonogramem realizacji obiektu.

Prowadziłem osobiście taką koordynację na budowach Placu Centralnego NH, gdzie było to zresztą łatwiejsze z uwagi na scentralizowany front robót na jednym dużym placu budowy. Mimo to pojawiały się wówczas wielokrotnie różne problemy i nieporozumienia w świętym trójkącie: inwestor, projektant, wykonawca robót.

Chciałem tego uniknąć i udało mi się to wkrótce w pełni i na okres kilku lat mej inwestorskiej działalności w Krakowie. Tajemnica powodzenia w tej mierze zasadzała się na takim konstruowaniu terminarza uzyskiwania dokumentacji projektowej oraz harmonogramów realizacyjnych, aby w obu przypadkach istniały pewne rezerwy i alternatywne możliwości.

Te rezerwy wyrażały się przygotowanymi już terenami i gotową, kompleksową dokumentacją techniczną dla szeregu budynków mieszkalnych, które wprowadzałem do rocznych planów inwestycyjnych zamiennie za obiekty, jakie z różnych względów okazały się nie „do ugryzienia”. Tymi względami najczęściej były przewlekłe, skomplikowa-



Osiedla Podgórze (Mateczny)

ne procedury prawno-wyłączeniowe i trudności ze znalezieniem zamiennych gospodarstw rolniczych i mieszkań dla rodzin przesiedlanych z domostw, przeznaczonych do rozbiórki.

Tak naprawdę, to prawie na wszystkich nowych osiedlach zostawały ostatecznie pojedyncze stare domki jedno, lub kilkurodzinne, samotnie i jakby przypadkowo, sterujące potem wśród nowej zabudowy wieloblokowej. Plany urbanistyczne z reguły przewidywały ich wyburzenie, gdyż kolidowały, jeśli nawet nie z nowoprojektowanymi budynkami, to z projektowanym zagospodarowaniem i urządzeniem terenów osiedli w chodniki, zieleń, piaskownice itp. Bywało, że te „Mohikanki” starej zabudowy likwidowane były dopiero po dziesiątkach lat, po popadnięciu w całkowitą ruinę (bo nie wolno ich było remontować), lub po wymarcu, względnie opróżnieniu przez dotychczasowych mieszkańców.

Jako rezerwowe place budów potraktowałem między innymi rozproszone budynki w rejonie ul. Kotlarskiej. Większość z nich stanowiła zabudowę plombową, zaś przygotowanie terenu poszczególnych działek wiązało się z rozbiórkami różnych ruder, szop, zadaszeń, ogrodzeń itp. Nie można było ryzykować i wstawiać tych obiektów do rocznych planów inwestycyjnych przed uporządkowaniem terenu przyszłej budowy i opracowaniem dokumentacji projektowej. Czynności te forsownie prowadziliśmy i gdy już mieliśmy uporządkowaną działkę i kompleksową dokumentację, to traktowaliśmy obiekt jako rezerwę do planu.

Łącznie na tzw. osiedlu Kotlarska można było liczyć na około 900 nowych izb mieszkalnych, które zrealizowane zostały ostatecznie do 1963 r.

W lipcu 1957 r. zawezwany zostałem do stawienia się przed komisją lekarską Wojskowej Komendy Rejonowej w Nowej Hucie. Po rutynowych badaniach lekarskich komisja wydała orzeczenie o mej zdolności do służby liniowej. Od 1951 r. byłem przeniesiony do rezerwy bez odbycia zasadniczej służby wojskowej, nie groził mi więc normalny pobór do wojska, na co byłem zresztą już za stary. Ale wojsko porządkowało akurat swe kadry, takich jak ja rezerwistów, i nie wykluczone było powołanie mnie na jakieś kilkumiesięczne przeszkolenie.

Faktycznie, pod koniec września otrzymałem kartę powołania, a następnie konkretne skierowanie od 2 października na ćwiczenia do jednostki wojskowej w Dębicy. Pośpiesznie więc wykańczałem swe różne bieżące sprawy biurowe, niektóre spisywałem celem załatwienia przez wyznaczonego zastępcę. Kwiaty dałem na przechowanie do sąsiadów, spakowałem się i w przeddzień wyjazdu, idąc do pracy, byłem w pełni przygotowany na wyjazd w nocy do Dębicy.

Ale dyr. Korombel po południu poinformował mnie, iż mój wyjazd na ćwiczenia wojskowe jest już nieaktualny i że mam niezwłocznie zgłosić się do komendanta WKR-NH. Poszedłem więc, tam starannie na czerwono przekreślono skierowanie i kilka innych rubryk w mej książeczce wojskowej, pokwitowano na karcie powołania stawienie się i po kilku minutach grzecznie mnie pożegnano.

Otóż kilka dni wcześniej dyrektor zwrócił się formalnie o anulowanie mego powołania ze względu na mą „niezbędność na zajmowanym stanowisku pracy”. Natomiast nieformalnie zapytał, czy WKR nie ma jakichś konkretnych potrzeb. Oczywiście, potrzebny był montaż instalacji gazowej, kuchenki gazowej cztero-palnikowej i czegoś tam jeszcze w pomieszczeniach WKR. Wszystko to w mig zostało wykonane, zaś ja od tego czasu już nigdy nie byłem niepokojony w jakiegokolwiek formie przez organa WP.

W III. kwartale 1957 r. w Miastoprojekcie-Kraków wystąpiło jakby „zakorkowanie” możliwości podejmowania nowych zleceń na dalsze prace projektowe. Biuro opracowy-

wało bardzo wiele dokumentacji technicznych dla Krakowa, także dla województwa krakowskiego, w tym coraz więcej bardzo pracochłonnych projektów na obiekty budownictwa ogólnego.

W tej sytuacji zleciłem kilka pomniejszych tematów projektowych do Wojewódzkiego Biura Projektów. Było to biuro znacznie mniejsze od Miastoprojektu, wykonywało głównie projekty budynków szkolnych i usługowych w województwie, a także remonty zabytkowych obiektów dzielnic Stare Miasto i Podgórze w Krakowie. Mieściło się w drewnianym baraku na końcu ulicy Krupniczej, przy Parku Jordana.

Pewnego dnia, gdy omawiałem z projektantem założenia techniczne dla zleconych budynków - nagle na korytarzu usłyszeliśmy jakiś hałas, tumult i nawoływania. Wyszliśmy na korytarz, zaś zaraz potem do świetlicy, gdzie wszyscy biegli. Tam było radio nastawione na maksimum głośności i usłyszałem, jeszcze w korytarzu, tubalny głos: „Gawarit Maskwa”. W pierwszej chwili wystraszyłem się i pomyślałem, że wojna lub jakieś inne nieszczęście. Za chwilę dały się słyszeć krótkie, regularne sygnały „pi-pi-pi” i spiker wyjaśnił, że oto w Kosmosie nad Ziemią przelatuje Sputnik, pierwszy sztuczny satelita Ziemi.

Pierwszy krok w podboju przestrzeni pozaziemskiej. Potem te dziwa w Kosmosie: Łajka, Łunniki, Gagarin, sondy marsjańskie nam spowszedniały. Ale wówczas, ten pierwszy sputnik w 1957 roku, to było mocne i niespodziewane wydarzenie. Porównywalne dopiero z lądowaniem człowieka na Księżycu w 1969 roku.

W kwietniu 1958 r. Dyrekcja przeniosła się z Nowej Huty do swej nowej siedziby przy ul. Mogiłskiej w Krakowie. Zakres naszych spraw inwestorskich na terenie Krakowa rozszerzał się coraz bardziej i znacznie przewyższał w tym czasie problemy inwestorskie osiedli nowohuckich. Zmiana lokalizacji siedziby DBOR Kraków-Miasto była więc w pełni uzasadniona i domagało się tego od dłuższego już czasu Prezydium RN miasta Krakowa. Uzyskanie zaś nowego biurowca dokonało się jakby przy okazji.

Mianowicie, w ramach porządkowania istniejącej zabudowy, prowadziliśmy w 1957 r. realizację trzech budynków plombowych przy ul. Mogiłskiej nr 2, 4 i 17. Pierwsze dwa to były niewielkie obiekty mieszkalne po 35 izb. Trzeci, większy budynek, zamykający pierzeję ulicy, miał być przeznaczony dla samotnych starych ludzi.

Ale, już zlecając opracowanie dokumentacji tego trzeciego budynku, dyr. Korombel przewidywał, że przeznaczony będzie na biurowiec dla naszej firmy. Po prostu o pieniądze na budowę biurowca dla potrzeb Dyrekcji musieliśmy starać się i zabiegać w ministerstwie. Natomiast wprowadzenie domu „spokojnej starości” do planu inwestycyjnego podlegało tylko naszej kompetencji. O wiele prostszą oraz pewniejszą sprawą było postawienie we właściwym momencie wniosku o zaadaptowanie go na biurowiec, z obietnicą, że odpowiedni ośrodek wybudujemy później, gdzieś na peryferiach miasta, w ciszy i zieleni, zamiast tej lokalizacji przy ruchliwej ulicy Mogiłskiej.

Odpowiednią zgodę otrzymaliśmy, gdy budowa była już poważnie zaawansowana. Adaptacje projektowe należało więc opracować w jak najkrótszym czasie. Podjąłem się tego zadania we własnym zakresie. W ciągu niewielu dni, kosztem wolnych wieczorów, wykonałem stosowne rysunki adaptacyjne w zakresie architektury i szkice zmian instalacji sanitarnych i elektrycznych.

Było to proste, gdyż budynek zaprojektowany został jako półotrakt z korytarzem i nanizanymi na nim pokojami mieszkalnymi. Miał przy tym szeroką klatkę schodową, windy oraz świetlicę w suterenie, które w ogóle nie wymagały żadnych zmian. Pokoje mieszkalne zamieniłem na biurowe, zaś część węzłów sanitarnych przy tych pokojach na archiwizację akt i dokumentacji projektowej.

Gdy obiekt był już prawie gotowy, ujawnił się niespodziewanie drugi amator do jego

przejęcia. Konkurentem naszym okazał się Dzielnicowy Komitet PZPR. Lecz budynek był za skromny i za mało reprezentacyjny dla potrzeb partii, więc rychło przeprowadziliśmy się do niego, zgodnie z pierwotnymi zamierzeniami.

Koszty adaptacyjne były niewielkie, zaś biurowiec służył potem Dyrekcji z powodzeniem przez ponad 20 lat. Gdy po latach zrobiło się ciasno, to dobudowano dodatkowo trakt z pokojami biurowymi z drugiej strony korytarza.

Jesienią 1958 r. miasto otrzymało w prezencie od jakiegoś zakładu przemysłowego duży, prefabrykowany barak drewniany. Stał na terenie tegoż zakładu i musiał być w najbliższym czasie rozebrany, bo nie był już przedsiębiorstwu potrzebny. Natomiast istniało w mieście wielkie zapotrzebowanie na izbę wytrzeźwień. Ktoś w magistracie skojarzył te dwa fakty i zwrócono się do nas, jako miejskiej instytucji inwestycyjnej, z pytaniem, czy byłoby możliwe przystosowanie tego baraku na tymczasową izbę wytrzeźwień w konkretnej lokalizacji przy ulicy Łobzowskiej w centrum Krakowa.

Odpowiedź na to przewrotne pytanie należała do mnie. Barak już demontowano, czekano na decyzję, gdzie przewozić elementy z rozbiórki, więc czas na odpowiedź liczył się w godzinach. Oglądałem teren wskazanej lokalizacji ewentualnej izby wytrzeźwień, barak i jego elementy, a także przeprowadziłem dłuższą rozmowę z lekarzem, przyszłym dyrektorem tejże izby wytrzeźwień. On przedstawił mi program użytkowy i zasady funkcjonowania izby, natomiast ja równocześnie szkicowałem rzuty budynku z rozplanowaniem pomieszczeń i ich wyposażeniem.

Barak był w dobrym stanie technicznym, elementy ścienne dobrze ocieplone, z dużymi i mniejszymi oknami, zaś więzary dachowe na całą szerokość obiektu umożliwiały dowolne ustawienie ścianek działowych. Wielkość baraku była w sam raz na potrzeby kubaturowe izby wytrzeźwień, zaś działka wystarczająco duża, dyskretna, ogrodzona murami i z możliwością podłączenia do wszystkich instalacji komunalnych. Zaopiniowałem więc pozytywnie możliwość adaptacji elementów baraku na potrzebną izbę wytrzeźwień i sam zabrałem się do opracowania tejże adaptacji.

Zaprojektowałem obiekt w formie litery „L”. W centralnej części była salka przyjęć z gabinetem i dyżurką lekarską, depozytem itp. Większe skrzydło mieściło dwuosobowe cele noclegowe dla mężczyzn, po obu stronach wewnętrznego korytarza. W drugim skrzydle zmieściły się pomieszczenia sanitarne, gospodarcze, administracyjne i jedna cela zatrzymań dla pacjentek.

W ciągu kilku miesięcy prowizoryczna Izba Wytrzeźwień w Krakowie została wybudowana i uroczystie oddana do użytku. Jak na dobrą prowizorkę przystało, funkcjonowała, ku chwale ładu i porządku publicznego, przez około 30 lat, serwując niezmordowanie swe usługi nietrzeźwym mieszkańcom podwawelskiego grodu.

Cały czas angażowałem się w problemy uprzemysłowionych metod budownictwa. Przede wszystkim działałem w tym zakresie z pozycji swej pracy i funkcji zawodowej, przez udział w radach technicznych Miastoprojektu, opracowywanie koreferatów do poważniejszych tematów projektowych itp. Ale również angażowałem się w tych sprawach prywatnie poza pracą zawodową. Na przykład przez udział w projektach racjonalizatorskich i różnych konkursach.

Między innymi byłem współautorem prefabrykowanej grzewczej płyty ściennej. Głównym pomysłodawcą i autorem opracowania części instalacyjnej był prof. Chłipalski z AGH. Wzajemne uzgodnienia i konsultacje prowadziliśmy w jego mieszkaniu na Wawelu. Przedmiotem pomysłu było ogrzewanie pomieszczeń przez obieg gorącej wody w rurach zatopionych w betonowych płytach, stanowiących elementy ścianek działowych. Były to więc takie grzejące ścianki, mające zastąpić tradycyjne grzejniki żeliwne, przy-



najmniej w części pomieszczeń.

Doświadczalnie zastosowano te płyty w nowym, dużym bloku mieszkalnym przy ul. Centralnej w Czyżynach. Ostatecznie skończyło się na tym eksperymencie, gdyż pomysł nie sprawdził się pod względem ekonomicznym.

Wziąłem też udział w ogólnopolskim, otwartym konkursie na nowe pomysły z zakresu budownictwa wielkopłytkowego. Do realnego wdrożenia tego budownictwa było jeszcze daleko, ale w sensie projektowym temat nurtował środowiska projektanckie. Konkurs miał być przyczynkiem na drodze maksymalnego uprzemysłowienia technologii budownictwa mieszkaniowego. Opracowałem zestaw mieszkań składanych w sekcje i segmenty budynków oraz ideowy katalog płyt ściennych oraz stropowych do montażu tych budynków.

Założeniem wyjściowym mego opracowania było uzyskanie jak największej różnorodności zestawianych sekcji i segmentów powtarzalnych, przy możliwie ograniczonej do minimum ilości typorozmiarów elementów wielkopłytkowych. Wydawało mi się, że z zadania tego się wywiązałem, ale mój duży wysiłek projektowy nie został w żaden sposób wyróżniony przez jury konkursowe.

Oglądałem później prace konkursowe, prezentowane przez SARP w Warszawie i stwierdziłem, że zamachnąłem się motyką na słońce. Konkurs był bardzo mocno obsadzony, udział brały w nim całe zespoły i biura projektowe. Zaś ja pracowałem solo, poza normalną pracą zawodową, wieczorami i w niedziele. Trzeba być młodym i fantastą, żeby tak nieracjonalnie szafować swoim czasem i energią.

Za to wszelkie urlopy wykorzystywałem w pełni na wypoczynek. Nadal brałem po dwa dwutygodniowe urlopy w ciągu roku i wyjeżdżałem wtedy z reguły na wczasy. Często nie planowałem sztywno urlopów na określony termin, lecz brałem je w ostatniej chwili, gdy nie było ważniejszych spraw zawodowych i gdy była szansa na słoneczną pogodę.



**Na wczasach w Krynicy**

Jeździłem w tych ostatnich latach pięćdziesiątych do Zakopanego, Krynicy, Szczawnicy lub Szczyrku. Zwykle na wczasy orbisowskie, a nie FWP. Były znacznie droższe, lecz można je było otrzymać w ostatniej chwili i na różne okresy czasowe. Zwłaszcza, że jako stały klient, miałem pewne względy i odpowiednią informację.

Szczawnica i Szczyrk podówczas były jeszcze siermiężne, jako miejscowości wczasowo-uzdrowiskowe rozrosły się nad podziw dopiero w następnych dwóch dziesięcioleciach. Obie miejscowości miały wszakże wspaniałe zaplecze turystyczno-krajobrazowe. Dla Szczawnicy są to Pieniny z Trzema Koronami i przełom Dunajca, zaś dla Szczyrku to sąsiednie trzy duże szczyty Beskidu Śląskiego oraz bliskość Bielska-Białej i uzdrowiska Wisła. Natomiast Zakopane i Krynica miały już wtedy standard kurortów europejskich, co w niczym nie przeszkadzało ich intensywnej rozbudowie.

W 1958 r., w czasie urlopowego pobytu w Zakopanem, przydarzyła mi się niecodzienna przygoda karciana. Otóż, podczas gry w brydża w gronie wczasowiczów, dostałem w normalnym rozdaniu 13 pików. Żałowałem później, że nie podrażniłem partnerów stopniowaną licytacją, lecz od razu zgłosiłem wielkiego szlema w pikach. Zatelefonowałem wieczorem o tym wyjątkowym zdarzeniu do „Gazety Krakowskiej”, która na drugi dzień zamieściła odpowiednią notkę na pierwszej stronie dziennika.

Nigdy w czasach kawalerskich nie jeździłem na urlop nad morze. Bałtyk pierwszy raz zobaczyłem, jakby ukradkiem, wieczorną porą, gdy byłem w 1958 r. w Gdańsku na jakiejś kilkudniowej kursokonferencji. Rozczarowałem się przede wszystkim tym, że ze Śródmieścia gdańskiego jest tak daleko do otwartego morza.

Mimo nagminnego braku czasu dla spraw osobistych - chodziłem jednakże dość często do kina, również do teatrów, zwłaszcza na ulubione przedstawienia operetkowe i operowe. M. In. w 1958 r. byłem na dwóch spektaklach moskiewskiego teatru „Bolszoj”, który wystąpił wtedy gościnnie trzykrotnie na scenie Teatru im. J. Słowackiego w Krakowie. Oczywiście bilety uzyskałem okazjnie od zaprzyjaźnionej pracowniczki teatru.

Przedstawienia te to była prawdziwa uczta duchowa. Ja zapamiętałem obraz sceny z saniami, ciągniętymi przez dwa żywe konie, przy padającym śniegu. Ten śnieg to był trik z niewidoczną kurtyną z gazy, na którą padały punkty świetlne z obracających się walców z otworkami, zawieszonych też niewidocznie od strony widowni. Podobne triki, doprowadzone do absolutnej perfekcji, widziałem kilka lat później tylko w teatrze „Latera Magica” na Vaclavske Namesti w Pradze Czeskiej.

Nie stroniłem też od różnych imprez typu zabawowego. Jeden z bogatszych bali sylwestrowych spędziłem w Klubie Dziennikarzy przy ul. Szczepańskiej. Nie miałem z tą profesją właściwie nic wspólnego, ale zajmowane przeze mnie stanowisko profitowało różnymi takimi okazjonalnymi zaproszeniami.

Pamiętam także duży karnawałowy bal w salach Domu Kultury w „Pałacu pod Baranami” w Rynku Głównym. Występował na nim Ludwik Sempoliński ze swym, aktualnym wówczas, przebojem „Tomasz, ach Tomasz!”. Do tegoż Domu Kultury zachodziłem też nie raz, aby pograć w swe ulubione szachy. Wiele razy bawiłem się w studenckiej „Rotundzie”, gdzie zwykle było tłoczno, ale panowała sympatyczna, swobodna atmosfera i grała dobra orkiestra.

Zawsze również trochę czasu poświęcałem na czytanie książek, a zwłaszcza prasy codziennej i tygodników. Możliwe to było, gdyż niewiele czasu przeznaczałem na słuchanie radia. No i nie było jeszcze wówczas telewizji, tego największego „złodzieja” czasu w końcówce XX wieku.

Książki, które chciałem przeczytać, po prostu kupowałem, tworząc z biegiem czasu własną, pokaźną bibliotekę. Nabywałem przede wszystkim książki związane z moim zawodem i pracą, a więc dotyczące wdrażania nowych technologii, konstrukcji i materiałów budowlanych.

W tamtej dobie „zimnej wojny” oraz zagrożenia nuklearnego poszukiwałem, wydawane przez MON, książki z zakresu strategii i doktryn wojennych, autorstwa głównie amerykańskich wojskowych. Była to całkiem obszerna dziedzina militarno-politycznych rozważań o strategiach odstraszania, powstrzymywania, odpychania; peryferyjnych, ograniczonych działań; zmasowanego odwetu atomowego, uderzenia uprzedzającego, wojny ograniczonej itd.

Interesowała mnie też historia narodów oraz ekonomika krajów i państw, w których aktualnie trwały wojny, rewolucje i dokonywały się zmiany ustrojowe i geopolityczne. Korzystałem w takich przypadkach z wszelkich dostępnych mi materiałów źródłowych jak atlasy, encyklopedie, roczniki statystyczne, podręczniki historyczne, reportaże. Takie wszechstronne spojrzenie na określone fakty i wydarzenia, dziejące się na świecie, pozwalało na ich, w miarę obiektywną, ocenę oraz zrozumienie, a nawet przewidywanie przebiegu i reperkusji wydarzeń. Często odmiennych od potocznych komentarzy i obiegowych opinii, głoszonych przez moich kolegów i znajomych lub prasę i radio.

Oczywiście przeczytałem też ówczesną sztandarową książkę „Kolumbowie - Rocznik 20” Romana Bratnego, „Powstanie Warszawskie” Jerzego Kirchmajera, także „Nędzników” Wiktora Hugo i chyba jeszcze tylko kilka książek z zakresu beletrystyki i

literatury pięknej.

Więcej czasu zajmowała mi prasa codzienna i czasopisma. Pod koniec lat pięćdziesiątych kupowałem tygodniki „Dookoła Świata”, „Żołnierz Polski”, „Morze” oraz miesięcznik „Problemy”. W „Dookoła Świata” było zawsze wiele reportaży z całego globu, między innymi Olgierda Budrewicza, jakie bardzo chętnie czytywałem. W „Żołnierzu” były całe serie opisów bitew i kampanii, zwłaszcza z okresu II wojny światowej. Zaś w „Morzu” - przegląd burzliwie rozwijającej się floty i całej polskiej gospodarki morskiej, opisy egzotycznych podróży, bitew morskich itp. W „Problemach” znajdowałem natomiast interesujące artykuły z dziedziny astronomii, matematyki, biologii i techniki.

Fascynujący był zwłaszcza rozwój techniki i technologii, który stwarzał złudną nadzieję na szybką przebudowę i udoskonalenie świata. Lata pięćdziesiąte były bowiem nadzwyczaj płodne w wielkie, epokowe wynalazki i ich szybkie praktyczne zastosowanie w masowej skali. W wielkim skrócie należały do nich:

- W elektronice: półprzewodniki z kryształów krzemu, zastąpienie lamp elektronowych tranzystorami, obwody drukowane, układy scalone, mikroskopy elektronowe, gigantyczne radioteleskopy. Rozpoczęła się era tyrystorowych i stereofonicznych aparatów radiowych, magnetofonów, dużych elektronicznych maszyn cyfrowych (jeszcze nie nazywanych komputerami), pierwszych telewizorów.

- W chemii: różnorodne tworzywa i włókna sztuczne jak nylon, stylon, orlon, polistyren; cała rodzina antybiotyków, poczynając od penicyliny z lat wojny czy streptomycyny, które wydawało się, że wyeliminują wszelkie choroby trapiące ludzkość.

- W komunikacji: gwałtowny rozwój przemysłu samochodowego oraz lotnictwa pasażerskiego i transportowego, wielkie frachtowce i zbiornikowce o pojemności do 60 tys. ton, wodoloty, poduszkowce, elektryfikacja kolejnictwa.

- W atomistyce: pierwsze elektrownie atomowe od 1954 r., broń wodorowa, lodolamace, kontenerowce i łodzie podwodne o napędzie atomowym.

- W kosmonautyce: od 1957 r. coraz większe sztuczne satelity Ziemi, wynoszone przez gigantyczne, wielostopniowe rakiety międzykontynentalne.

W tym wyścigu techniki przodowały oczywiście oba supermocarstwa i rozwinięte państwa Europy zachodniej. Polska dopiero odrabiała mozolnie, acz bardzo szybko, swe wiekowe zapóźnienie techniczno-cywilizacyjne i niektóre z tych „nowinek” przyswajała z kilkuletnim opóźnieniem.

Do Warszawy jeździłem w sprawach służbowych kilka razy do roku. Zwykle chodziło o uzgodnienie, lub zatwierdzenie rocznych planów inwestycyjnych dla Krakowa, narad w sprawach polityki inwestycyjnej, zapoznanie się z nowymi przepisami itp. Te pobyty w stolicy prawie zawsze wykorzystywałem na zwiedzanie nowowypbudowanych obiektów i osiedli.

Niekiedy leciałem do Warszawy samolotem. Wówczas podróżowało się dwusilnikowymi Douglasami z amerykańskiego demobilu, które z bombowców przerobione były na samoloty pasażerskie. Nie leciały one zbyt wysoko, często pod chmurami. Wtedy, bywało, mocno trzęsło i podrzucało samolotem, co było spowodowane pionowymi prądami powietrznymi. Lubiłem patrzeć przez iluminator na wolno przesuwający się na dole krajobraz.

Mniej atrakcyjne były przejazdy samochodem. Raz w okolicy Kielc, kierowca na oblodzonej jezdni nie zapanował nad kierownicą, samochód wykonał pełny obrót i znalazł się na lewym pasie ruchu. Nic się nam nie stało, bo ruch samochodowy na drogach był w tamtych latach niewielki i prawdopodobieństwo zderzenia się dwóch pojazdów było, bez mała takie, jak zderzenie się dwóch ciał kosmicznych na swych orbitach. Gdyż ilość samochodów osobowych w Polsce nie przekraczała wówczas 60 tysięcy sztuk.

Sprawowanie funkcji kierowniczych owocowało niekiedy pewnymi zaszczytami. Więc na przykład zostałem zaproszony na uroczystość wręczenia sztandaru Hufcowi Harcerskiemu w Nowej Hucie, ufundowanego przez nowohuckie zakłady pracy. Wiązało się to z wbiciem honorowego gwoźdźcia w drzewce sztandaru.

Przy innej okazji otrzymałem Złotą Odznakę Klubu Sportowego „Wanda”. Prawdę powiedziawszy, to nie uprawiałem żadnej dyscypliny sportowej, zaś K.S. „Wanda” w Nowej Hucie znany mi był jedynie z motocyklowych zawodów żużlowych na ich klubowym stadionie, na jakich byłem kilka razy.

Inny wymiar i rangę miał natomiast przyznany mi 22 lipca 1958 r. przez Radę Państwa Srebrny Krzyż Zasługi. Udzielony został za cały dotychczasowy okres mej działalności zawodowej. Sądzę, że rzetelnie nań zapracowałem. Podobnie, jak na Odznakę Budowniczego Nowej Huty, przyznanej mi w czerwcu 1959 r. przez Prezydium Rady Narodowej Miasta Krakowa. To wyróżnienie, po Odznace Racjonalizatora Produkcji z 1954 r., do dziś cenię sobie najbardziej.



**Odznaka**

Swą pracę zawodową i stosunki międzyludzkie w Dyrekcji wspominam jako bardzo dobre. Najwięcej styczności w pracy miałem oczywiście z kierownikami oraz pracownikami podległych mi działów, w tym najbardziej angażował mię Dział Dokumentacji Technicznej. Dział ten prowadził najbardziej ożywioną korespondencję i miał najwięcej kontaktów z biurami projektowymi i przedsiębiorstwami wykonawczymi.

Miałem zwyczaj prawie codziennego ранnego obchodu wszystkich swych działów. Pytałem o bieżące problemy i trudności, przypominałem o konieczności załatwienia konkretnych spraw. Mogłem też na bieżąco koordynować działania całego swego pionu przygotowania inwestycji. Przy okazji także ocenić wywiązywanie się przez pracowników ze swych obowiązków.

W jakimś sensie te moje stałe robocze kontakty mobilizowały również pracowników do lepszej pracy. W każdym bądź razie zawsze mogli liczyć na wsparcie, na uzyskanie potrzebnej im decyzji, czy informacji, na rozwikłanie trapiących ich dylematów. Poma gałem zwłaszcza w redakcji ważniejszej korespondencji, przynajmniej w zakresie merytorycznym.

Oczywiście starałem się nie wyręczać zanadto kierowników działów, zresztą z nimi się najczęściej porozumiewałem i to przeważnie bezpośrednio, bo celowo jak najmniej posługiwałem się telefonami wewnętrznymi. Nie chciałem być malowanym dyrektorem, lecz starałem się o wizerunek szefa, działającego wewnątrz całego kolektywu pracowniczego.

Przy tym wszystkim najbardziej wymagający byłem w stosunku do siebie samego. Przeważnie nie traciłem w biurze czasu na przeglądanie i załatwianie bieżącej korespondencji, ale zabierałem ją do domu. W domu także przygotowywałem sobie punktowy spis spraw do załatwienia w biurze w dniu następnym. Starałem się potem te sprawy załatwiać konsekwentnie i sprawnie przy minimalnym nakładzie czasu. Często przychodziłem nieco wcześniej do pracy i zostawałem dłużej, celem zakończenia pilnych spraw.

Moje drugie śniadanie w biurze ograniczało się zwykle do konsumpcji przygotowanych w domu kanapek, co łączyłem z lekturą pism lub tp. Kawę, czy herbatę wypijałem podczas prawie codziennych narad czy konferencji, lub przygotowane przez sekretarkę.

Prawie ze wszystkimi kierownikami działów byłem na „ty”, jednakże w kontaktach z szeregowymi pracownikami utrzymywałem dystans. Unikałem w ten sposób zbytnej poufności w pracy, ale faktycznie byłem wyrozumiały i tolerancyjny w stosunku do różnych drobnych niedociągnięć i usterek w pracy. Wtedy raczej pomagałem, niż ganiłem. Ten dystans wynikał chyba też częściowo z różnicy wieku i stanu rodzinnego. Większość pracowników była ode mnie starsza i miała swe rodziny, a ja byłem nadal kawale-

rem i mieszkalem w Nowej Hucie samotnie.

Niekiedy ten sztywny dystans zalamywal sie na krótko, na przyklad z okazji obchodzonych imienin. Sam zwyczaj celebrowania imienin wspolpracownikow zakorzenil sie we wszystkich zakladach pracy Polski Ludowej juz we wczesnych latach piecdziesiatych. Polegal on na tym, ze solenizant otrzymywal zyczenia i jakis upominek, zwykle zbiorowo zakupywany przez wspolpracownikow w danej jednostce organizacyjnej. Zas on sam stawial jakis poczustunek, na przyklad kawę, ciastka itp.

Te male uroczystosci dzialy sie albo zaraz z rana, albo w ostatnich minutach pracy. Najgorzej (najlepiej?) w tych sytuacjach mial solenizant-dyrektor. W jego przypadku jednostka organizacyjna byl caly zaklad. Mial taki dzien normalnie „z glowy”. Nasz naczelny zwolywal w dniu swych imienin zwykle narade robocza, lecz z kawą i ciastkami, która konczyła sie skladaniem zyczen i prezentu przez kierownikow dzialow, bioracych udzial w naradzie.

Ja te „celebracje” skracalem do minimum. Nie uciekalem z biura, nie szwendalem sie po pokojach, a jedynie robilem u siebie w gabinecie biezace papierkowe sprawy. Przybylych z zyczeniami czestowalem zwykle jakimis lepszymi slodyczami, rozmawialo sie chwile bardziej prywatnie i tyle. Dostawalem przewaznie prezenty ksiazkowe z dydakcjami pracownikow danego dzialu.

Moje zarobki stale wzrastaly. W latach 1956-59 trzykrotnie awansowalem finansowo z 3.200 do 4.000 zł. miesiecznie. Dochodzily do tego 15% premii, nagrody okazjonalne, wypłaty delegacji oraz wynagrodzenie za opracowane przeze mnie koreferaty i wnioski racjonalizatorskie. Średnio miesiecznie wynosilo to 5-6 tys. złotych, co bylo niezłym wynagrodzeniem, zwlaszcza w sytuacji, gdy nie bylem obarczony rodzina.

Oczywiscie kwota ta stanowiła zarobki netto, bo w PRL nie placilo sie podatkow od plac pracowniczych. Uwzglednic trzeba jeszcze i to, ze inflacja w tamtych latach byla praktycznie zerowa, bo wskaźnik cen detalicznych w ciagu pietnastu lat 1955-70 wzrosł zaledwie o 20 %. Rowniez opłaty za mieszkanie itp. byly symboliczne, a gospodarzyłem sie raczej oszczednie. Palilem marne papierosy „Giewonty”, od alkoholu stronilem, na inne rozrywki i wydatki nie mialem czasu. To tez konto w PKO ciagle mi przyrastalo, by wreszcie dojsc do kwoty sześciocyfrowej.

W 1958 r. koncentrowalem swe zabiegi wokół przygotowania dokumentacji projektowej dla trzech dalszych nowych osiedli krakowskich. Byly to osiedla Prądnicka, Wieczysta i Olsza II. Rowniez tym razem urbaniści Miastoprojektu-Kraków w kilka miesiecy przygotowali wstepne plany urbanistyczne, jakie, po ich wszechstronnych uzgodnieniach, zostaly w drugim polroczu kolejno zatwierdzone do realizacji. Mozna bylo wtedy przystapic do opracowywania technicznych projektow realizacyjnych dla poszczegolnych obiektow osiedli.

Budowa nowych osiedli przebiegala wedlug pewnego stalego schematu podyktowanego warunkami technicznymi, zwiazanymi z infrastruktura uzbrojenia terenu.

Podstawowa sprawa bylo zapewnienie dostawy energii elektrycznej i wody juz na etapie przygotowania placu budowy osiedla. To tez pierwszymi obiektami kubaturowymi, budowanymi na osiedlach, byly stacje trafo na napiecie 220 V, które podziemnymi liniami kablowymi podlaczano do miejskich stacji sredniego napiecia. Niekiedy i te stacje trzeba bylo budowac z odpowiednim wyprzedzeniem.

Pierwsza osiedlowa trafostacja musiala byc gotowa przed przystapieniem do jakichkolwiek innych robót na osiedlu. I tak, na przyklad, trafostacje na osiedlach Wieczysta i Olsza II wybudowane byly w miesiacach III-VII 1959 r., zas roboty kubaturowe, zwiazane z budynkami mieszkalnymi, rozpoczely sie na tych osiedlach w VIII 1959 r.

Wszystkie trafostacje osiedlowe wykonywane byly najczesciej wedlug jednej typ-

wej dokumentacji. Bardzo wcześnie ich budowa została uprzemysłowiona. Elementy ścian i dachu produkowane były seryjnie przez jedno przedsiębiorstwo, jako płyty żelbetowe, których montaż na budowie, przeprowadzany przy użyciu dźwigu samochodowego, trwał tylko jeden-dwa dni. Również transformatory, w jakie te trafostacje wyposażano, były ujednolicone, zaś przeźorni inwestorzy kupowali je z wyprzedzeniem, gdyż przemysł nie nadążał z ich produkcją.

Razem z pierwszymi budynkami mieszkalnymi na wszystkich nowych osiedlach budowano osiedlowe kotłownie centralnego ogrzewania. Terminy ich uruchamiania ustalano tak, aby zabezpieczyć dostawę ciepła grzewczego dla świeżo oddawanych budynków na danym osiedlu z początkiem najbliższego sezonu grzewczego.

Zwykle dla grzania pierwszych budynków uruchamiano prowizorycznie tylko jeden kocioł, natomiast montaż dalszych i roboty wewnętrzne w kotłowni trwały dalej. Niestety, często ukończenie nawet tego jednego kotła się opóźniało i ogrzewanie pierwszych budynków następowało z wielotygodniowym poślizgiem w stosunku do 15 października, to jest oficjalnego terminu rozpoczynania sezonu grzewczego. W przypadku wczesnej zimy, stanowiło to poważną uciążliwość dla mieszkańców już zamieszkających na osiedlu.

To też, oprócz „modłów” o późną zimę, w okresie końca lata i miesięcy jesiennych trwała pełna koncentracja brygad instalacyjnych w nowych kotłowniach. Taki swoisty wyścig z czasem, aby tylko zdążyć na zaplanowany termin. Przyjęło się, że w tym okresie nie wykonywano żadnych robót remontowych, czy modernizacyjnych w innych kotłowniach w Krakowie. Te prace wznawiano dopiero wiosną, gdy brygady instalacyjne kończyły swe roboty na nowych kotłowniach.

Zasilenie placów budów w wodę uzyskiwano zwykle z prowizorycznych sieci wodociagowych, budowanych w ramach urządzania placów budów. Zaś stałe sieci osiedlowe i ich podłączenie do istniejącej, miejskiej sieci magistralnej realizowane były z takim wyliczeniem, by zdążyć z tymi robotami na termin oddawania pierwszych obiektów kubaturowych do użytku. Podobnie było z budową gazowych sieci osiedlowych.

Najtrudniejszą sprawą z zakresu infrastruktury osiedlowej było jednak zabezpieczenie odprowadzenia ścieków komunalnych i wód opadowych. Byliśmy zmuszeni niekiedy budować wcześniej kolektory magistralne, do których dopiero podłączana była osiedlowa sieć kanalizacyjna.

Projekty takich kolektorów musiały uwzględniać wszystkie istniejące obiekty i przewidywane inwestycje, pozostające w ich zlewni. Zaś trasy kolektorów przebiegały często przez tereny zabudowane, drogi, linie kolejowe, pola uprawne itp. Stąd już same ich projekty wymagały pracochłonnych uzgodnień, obliczeń i pomiarów. Także ich budowa niosła wiele problemów, trudności i była bardzo kosztowna.

To też poszczególne kolektory ogólnospławne i rozdzielcze traktowaliśmy jako odrębne tytuły inwestycyjne. Musieliśmy je realizować, gdyż warunkowały one niejednokrotnie budowę nowych osiedli, zwłaszcza odleglejszych od centrum miasta. W takiej sytuacji było np. osiedle Olsza II, którego budowę poprzedziła realizacja dużego kolektora wzdłuż rzeki Białuchy.

Drogi, place i chodniki osiedlowe realizowano zwykle w końcowej fazie budowy osiedla. Wiązało się to często z przejściowymi trudnościami dojazdu i poruszania się mieszkańców zasiedlonych wcześniej bloków. Dla potrzeb placu budowy wykonywano sieć dróg prowizorycznych z prefabrykowanych płyt żelbetowych. Te płyty były wielokrotnie używane przez przedsiębiorstwa wykonawcze na kolejnych osiedlach. W związku z tym istniał wieczny spór pomiędzy wykonawcami a nami, o sposób odpłatności za te prefabrykaty i wielokrotność ich użycia.

Również w ostatniej fazie budowy osiedli realizowaliśmy osiedlowe sieci wielootwo-

rowej kanalizacji teletechnicznej. Nie było to równoznaczne z możliwością instalowania aparatów telefonicznych przez mieszkańców, gdyż wciąganie kabli telefonicznych do przygotowanych kanałów betonowych należało do Urzędu Telefonów Miejskich. Występowały w tej materii często wieloletnie opóźnienia, spowodowane z kolei opóźnieniami w budowie przez UTM kosztownych, skomplikowanych central telefonicznych i okresowymi brakami samych kabli teletechnicznych.

Ostatnim elementem urządzenia terenu osiedli była tak zwana mała architektura osiedlowa i zieleni. Ograniczone elementy małej architektury, jak trzepaki i śmietniki, zawsze były wykonywane. Gorzej bywało z piaskownicami, placykami zabawowymi dla dzieci, ścieżkami spacerowymi itp. Jednak największym problemem było ostateczne uporządkowanie terenu i zrealizowanie projektów zieleni. Istniały zawsze powody, takie jak brak pieniędzy i czasu na finiszu osiedla, żeby te roboty i koszty zepchnąć na administrację osiedlową i samych mieszkańców.

Ale my w DBOR-KM uparliśmy się, że będziemy realizować konsekwentnie na kończonych osiedlach również te niewdzięczne roboty związane z zielenią. A więc nawiezenie humusu, sianie mieszanek traw, sadzenie różnych gatunków drzew i krzewów. Dzięki temu dziś „stara” Nowa Huta prezentuje się jak jeden wielki, przepiękny park. Bywa, że idący ulicą nie widzi, zza szpaleru drzew, wielopiętrowych budynków mieszkalnych. Przy czym ta wysoka zieleń na ulicach, placach i terenach wewnątrzblokowych charakteryzuje nie tylko przemyślaną kompozycją, ale również i odpowiednim doбором gatunków drzew i krzewów.

Promotorem tego zielonego szaleństwa był bezapelacyjnie dyr. B. Korombel, zaś wiernymi sekundantami T. i W. Chudybowie, on leśnik z wykształcenia, ona projektantka zieleni. Chciałbym mieć tyle złotych (nowych) ile drzew i krzewów rośnie w Nowej Hucie i Krakowie dzięki ich inicjatywie i staraniom.

Jeśli chodzi o „starą” Nową Hutę, to przez całe lata pięćdziesiąte wszystkie niewykorzystane, czy zaoszczędzone środki finansowe na wszelkich zadaniach inwestycyjnych, bez względu na okoliczności, kierowane były na zieleni. Przy okazji powstały poza planem inwestycyjnym zalew wodny przy ul. Bulwarowej i dwa szkolne baseny. Jeden na osiedlu C-3 w Nowej Hucie, drugi przy ul. Grochowskiej w Krakowie.

Na każdym nowym osiedlu budowane były szkoły podstawowe, przedszkola, żłobki, pawilony handlowo-usługowe i często przychodnie lekarskie. Niekiedy pomieszczenia handlowo-usługowe mieściły się w parterach nowych budynków, zwłaszcza płombowych. Tak było na osiedlach 18 Stycznia, Podgórze, Nowa Grzegórzecka i Prądnicka.

Często dzieci z nowych osiedli chodziły przejściowo do szkół podstawowych istniejących w sąsiedztwie nowego osiedla. Ale nie było przykładu, że nie trzeba było z tego powodu budować nowej szkoły podstawowej. Bowiem zwykle na nowych osiedlach dzieci gwałtownie przybywało. Potem po liczebności poszczególnych roczników w klasach szkolnych można było, z dużą dokładnością, ustalić lata budowy danego osiedla.

Pawilony handlowo-usługowe budowane były jako ostatnie obiekty kubaturowe na osiedlach. Niekiedy dopiero po wielu latach, często już jako odrębne tytuły inwestycyjne. Wiązało się to z wieloma przyczynami. Generalnie w tamtych latach priorytetowe były inwestycje przemysłowe, mieszkaniowe, szkolnictwo i wiele innych rzeczy, zaś sprawy rozwoju handlu traktowano marginalnie. Znaczna część zaopatrzenia ludności, wzorem lat tuż powojennych, szła przez sklepy i bufety przyfabryczne i zakładowe oraz załatwiana była przez związki zawodowe. Dotyczyło to stale np. zakupu ziemniaków i owoców na zimę oraz karpia i szynki na święta.

Drugim istotnym powodem skromnych rozmiarów sieci handlowej były okresowe niedobory różnych towarów i artykułów, które w pierwszej kolejności kierowano właśnie do sklepów przyzakładowych dla ludności pracującej.

Nie było też konkurencji w branży handlowej. Sieci sklepów i usług realizowane były według wskaźników urbanistycznych, odnoszących się do ilości mieszkańców i planowo prowadzone przez wyspecjalizowane państwowo-spółdzielcze organizacje handlowe, jak MHD, WPHW, PSS „Społem”, GS „Samopomoc Chłopska”, PUPiK „Ruch”, CPN itd.

Masa towarowa w latach pięćdziesiątych ograniczona była w zasadzie do produkcji krajowego przemysłu i rolnictwa. Import konsumpcyjnych wyrobów przemysłowych z zagranicy był bardzo niewielki, zaś w zakresie towarów rolniczych dotyczył jedynie zakupów herbaty, kawy, win, przypraw itp. artykułów w kraju nie produkowanych.

Wreszcie normalny, nowoczesny handel zawsze dużo kosztował. Wymagał odpowiednich pomieszczeń handlowych, pawilonów, hurtowni, wyposażenia, znacznego zatrudnienia. Zaś na pośredni handel kramarczy, obnośny, obwoźny itp. nie było administracyjnego przyzwolenia. Uzupełniającą rolę w stosunku do państwowego handlu stacjonarnego, spełniały jedynie jarmarki na placach targowych, na których sprzedawcami byli bezpośredni producenci, to jest chłopię i rzemieślnicy.

Z trzech nowych osiedli, a to Prądnicka, Wieczysta i Olsza II, najwcześniej rozpoczęta została realizacja os. Prądnicka. Jeszcze w 1958 r. zaczęto zabudowę pięciu niedużych plomb przy samej ulicy Prądnickiej. Było to możliwe, gdyż ulica ta była wyposażona we wszystkie rurociągi uzbrojenia komunalnego.

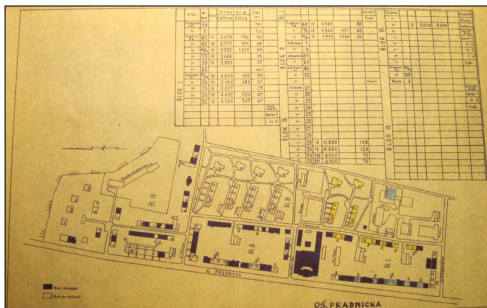
Owe plomby, liczące razem 150 izb mieszkalnych, stanowiły w następnym roku pierwsze efekty rzeczowe na osiedlu. Równocześnie z nimi wybudowane zostały dwie trafo-stacje i lokalna kotłownia centralnego ogrzewania. Roboty przy dalszych pięciu budynkach plombowych rozpoczęto wiosną 1959 roku, zaś latem ruszyła budowa pierwszych czterech, wolnostojących bloków na terenie właściwego osiedla. Łącznie było to 580 nowych izb mieszkalnych, przy czym całe osiedle obejmowało prawie 3 tysiące izb.

Budynki plombowe, a było ich w sumie na osiedlu około 30, zaprojektowane były w większości w technologiach tradycyjnych, zaś 4 i 8-kondygnacyjne bloki wolnostojące w I stopniu uprzemysłowienia. Całość osiedla, łącznie z późniejszą szkołą podstawową, przedszkolem, żłobkiem, sklepami i garażami realizowało przedsiębiorstwo KPBM. Również na tym osiedlu musiało ono zastosować do montażu budynków mieszkalnych ciężkie samojezdne dźwigi budowlane.

Osiedle Wieczysta zlokalizowane było przy ulicy o tej samej nazwie, prowadzącej z Krakowa do Nowej Huty, zaraz za istniejącymi młynami zbożowymi. Dziś ta ulica jest fragmentem Alei Jana Pawła II.

Prawie całe osiedle usytuowane było na płaskim terenie, a jedynie północną część zajmowała kilkumetrowej wysokości skarpa terenowa. Na tym płaskim terenie występowały grunty torfiaste i niezbędne było posadowienie projektowanych tam pięciokondygnacyjnych budynków na studniach Szokalskiego.

Natomiast w części wyższej osiedla były korzystne warunki geologiczno-inżynierskie i tam Miastoprojekt zaprojektował duży VIII kondygnacyjny blok mieszkalny. Był to wówczas największy budynek mieszkalny w Krakowie, liczył 560 izb i miał około 180 metrów długości. Od tego budynku rozpoczęła się w połowie 1959 r. realizacja obiektów kubaturowych osiedla Wieczysta. Łącznie w tym roku rozpoczęto budowę



**Osiedle Prądnicka**



czterech bloków, liczących razem ponad tysiąc izb mieszkalnych. Całe osiedle zaprojektowane zostało na 3300 izb. Wszystkie nowoprojektowane budynki miały poprzeczny układ konstrukcji i technologię uprzemysłowioną I stopnia. Generalnym wykonawcą było PBM-Nowa Huta.

PBM-NH przejęło również realizację osiedla Olsza II. Tam roboty fundamentowe pod pierwsze 6 bloków mieszkalnych, obejmujących ok. 1200 izb, rozpoczęte zostały jesienią 1959 roku. Całe osiedle liczyło ponad 4 tysiące izb.

Osiedle Olsza II i osiedle Prądnicka rozpoczynały szeroką ekspansję budowlaną w części północnej Krakowa. Po nich miały być tam w niedługim czasie budowane nowe duże osiedla Akacyjowa, Azory, Krowodrza i Prądnik Czerwony, liczących łącznie prawie 100 tysięcy mieszkańców.

Wszystkie budynki na Olszy II zaprojektowane zostały jako 5-kondygnacyjne oraz oczywiście w technologii uprzemysłowionej. W tym okresie żadne z dużych przedsiębiorstw budowlanych w Krakowie nie podjęłoby się już większych budowy z cegły, pustaków ceramicznych i innych drobnowymiarowych elementów.

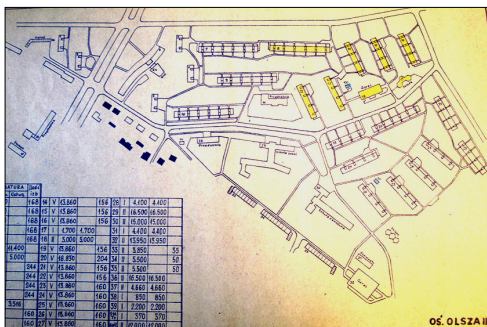
Przygotowując i uruchamiając realizację nowych osiedli liczyliśmy na nieustający wzrost rocznych planów inwestycyjnych. Na przykład na rok 1959 zabezpieczyliśmy w Krakowie przygotowanie terenu i technicznej dokumentacji projektowej na budowę około 7 tysięcy izb mieszkalnych, zaś na rok następny ponad 8000 izb. Możliwości przerobowe głównych przedsiębiorstw wykonawczych i ich zaplecza materiałowego też się zwiększały i były one w stanie zadania te zrealizować.

Tymczasem w 1958 r. ministerstwo zapowiedziało znaczne obniżenie nakładów finansowych, oraz oczywiście planów rzeczowych w państwowym budownictwie, poczynając już od tego roku. Otóż na skutek szybkiego zwiększania nakładów finansowych na inwestycje w skali całego kraju - finanse państwa dostały „zadyszki” i zaczęły się różnego rodzaju oszczędności i reorganizacje. Zmiany w budownictwie mieszkaniowym miały polegać na tym, że postanowiono sięgnąć do środków własnych kandydatów na nowe mieszkania i sfinansować przy ich pomocy przynajmniej część kosztów nowych mieszkań.

Reaktywowano więc lokatorskie spółdzielnie mieszkaniowe, organizując je na przedwojennych zasadach, ale na znacznie większą skalę i na dogodniejszych dla członków warunkach. Wkład gotówkowy, jaki należało wnieść, aby uzyskać status członka, ustalono tylko na poziomie 15 %. Zaś spłatę budowlanego kredytu bankowego rozłożono na 40 lat, przy małym 1 %-ym, symbolicznym oprocentowaniu.

Równocześnie ograniczono kategorię pracowników, którzy mogli liczyć na darmowe mieszkania kwaterekowe z budownictwa państwowego. Nic więc dziwnego, że w krótkim czasie zawiązało się w Krakowie kilka dużych spółdzielni mieszkaniowych, które zaczęły się rozglądać za możliwościami realizacyjnymi.

Oczywiście w pierwszym rządzie ich przedstawiciele zwrócili się do funkcjonującego w mieście państwowego inwestora-monopolisty, jakim była nasza Dyrekcja Budowy Osiedli Robotniczych Kraków-Miasto. Oferowali pieniądze, to jest kredyty bankowe, które zamierzali zaciągnąć na swe konta, natomiast prosili o mieszkania. Prawdopodobnie nie zdawali sobie nawet sprawy z tego, że ratują nas z ciężkiej opresji.



Osiedle Olsza II (Miechowity)

Mianowicie, przy ograniczanych akurat nakładach na bezpośredni plan własny, mieliśmy nadmiar stanów surowych w budowie i nadmiar przygotowywanych terenów i dokumentacji projektowej. Bez włączenia się spółdzielczości musielibyśmy zrywać i wycofywać się z zawartych umów z przedsiębiorstwami wykonawczymi i biurami projektowymi. To też przyjeźliśmy spółdzielczych klientów z otwartymi ramionami. Urządziliśmy kilka informacyjnych spotkań, na których prezentowałem mapki nowych osiedli, rzuty budynków i mieszkań, terminy oddawania ich do użytku i koszty nowych mieszkań. Zachęcałem do wyboru osiedli i budynków i reklamowałem ten towar, jak mogłem najlepiej.

Organizacja spółdzielni trwała wiele miesięcy. Zebranie odpowiedniej ilości kandydatów, ukonstytuowanie się, wybór zarządu, wstępne zapewnienia z naszej strony o przekazaniu terenu i budowie domów, założenie konta, spisanie umowy z bankiem, zebranie wkładów członkowskich itp., musiało zająć nieco czasu.

Dochodziło więc do takich sytuacji, jak w przypadku Młodzieżowej Międzyzakładowej SM, że wiosną 1959 r. przekazaliśmy jej, na wybranym przez nich osiedlu Nowa Grzegórzecka, ukończone już budynki z setką mieszkań, a oni nie mieli jeszcze tylu rzeczywistych członków. Bo wielu kandydatów nie zdążyło zebrać i wpłacić swych wkładów członkowskich. Praktycznie niektórzy w jednym dniu wnosili należne wpłaty, a na drugi dzień odbierali klucze do nowych mieszkań.

Oczywiście, że potem się ta sytuacja ustabilizowała i nie musieliśmy budowę przekazywanych spółdzielniom bloków kredytować ze swoich środków. Jeszcze później, to spółdzielcy wnosili swe wkłady na wiele długich lat wcześniej, zanim otrzymywali klucze od swych wymarzonych M.-ów.

W 1959 r. zrealizowaliśmy w Krakowie we własnym państwowym planie 4300 izb mieszkalnych, zaś w budownictwie powierniczym dla spółdzielni mieszkaniowych 2600 izb. A w roku następnym zamierzaliśmy przekazać spółdzielczości prawie dwa razy więcej izb, z tego 4000 izb rozpoczęliśmy budować w roku 1959 w stanach surowych.

Ta zasada prowadzenia przez DBOR inwestycji dla spółdzielczości mieszkaniowej przyjęła się już w Krakowie na stałe. Dzięki temu poszczególne spółdzielnie nie musiały zatrudniać służb inwestycyjnych i mogły skupić się na organizacji zaplecza usługowego i administracji swych osiedli. W związku z przypisywaniem spółdzielniom konkretnych całych osiedli nastąpiła ich rejonizacja i przyszli ich członkowie wybierali spółdzielnie według dzielnicy, w której chcieli zamieszkać.

Członkowie zarządów spółdzielni, z którymi miałem do czynienia wykazywali bardzo dużą aktywność i zaangażowanie we wszystkich sprawach i problemach, związanych z realizowanymi dla nich budynkami. Prosił o plany mieszkań, aby pokazać je swym członkom, doglądali jakości robót wykończeniowych, jak również wyrażali wyraźne zadowolenie z szybkiej budowy mieszkań.

Swą wdzięczność demonstrowali także różnymi upominkami dla kierownictwa DBOR. Ja opędzałem się, jak mogłem, przed osobistymi prezentami, ale niektóre przyjąłem. Między innymi, zestaw marmurowy na biurko od Zjednoczenia Przemysłu Kamienia Budowlanego. Zestaw ten potem zdobił me biurko w pracy, a następnie w mieszkaniu. Zdobił, gdyż użytku z niego żadnego nie było. Składały się nań podstawki pod notatki i pióro, kałamarz i suszka atramentowa. Do epoki długopisów było jeszcze daleko i pisało się wtedy stalowymi piórkami w drewnianych obsadkach, przy użyciu niebieskiego lub czarnego atramentu. W powszechnym użyciu były też wieczne pióra. Ja miałem właśnie takie pióro firmy Parker ze złotym piórkiem i kałamarz nie był mi potrzebny. Drugą korzyścią osobistą dla mnie było to, że gdy później, już po zawarciu małżeństwa, zapisałem się do Młodzieżowej SM, to przyjęty zostałem z prawem wyboru mieszkania poza wszelką kolejnością.

Głównym zadaniem DBOR-KM była kompleksowa realizacja nowych osiedli mieszkaniowych na terenie Krakowa. Cel ten określony był jednoznacznie nawet w nazwie przedsiębiorstwa. Faktycznie prowadziliśmy jeszcze różne kubaturowe inwestycje rozproszone oraz duże inwestycje drogowe, linii tramwajowych i magistral uzbrojenia terenu.

Obiekty rozproszone to były głównie szkoły podstawowe i budynki mieszkalne, realizowane w różnych punktach miasta. Ale także internaty, przychodnie zdrowia, zakłady specjalne, remizy strażackie, garaże, a nawet szalety miejskie. Co roku tych obiektów było po kilkanaście. Realizowane były głównie przez przedsiębiorstwo KPBM. Te obiekty rozproszone zabierały sporo czasu poszczególnym działom pionu przygotowania inwestycji w Dyrekcji, w tym mnie osobiście, oraz odciągały naszą uwagę od podstawowego naszego obowiązku przygotowania inwestycji licznych nowych osiedli. Ale dawaliśmy sobie z tym jakoś radę.

O wiele gorzej było z przedsięwzięciami komunikacyjnymi oraz dotyczącymi uzbrojenia terenu. Kolektory magistralne i rurociągi wodne miały często kilometrowe długości i poważnie angażowały, zwłaszcza działy Uzbrojenia Terenu oraz Prawno-Wyłączeniowy. Wiązały się one jednakże przyszłościowo z naszymi osiedlami i obarceniami Dyrekcji tymi przedsięwzięciami było logiczne i naturalne.

Natomiast stosunkowo obce i kłopotliwe dla nas były przedsięwzięcia inwestycyjne nowych tras drogowych i linii tramwajowych. Między innymi w tych ostatnich latach 50. przypadł nam obowiązek przygotowania i prowadzenia rozbudowy ulicy Wielickiej. Była to wówczas skromna, o wapiennej nawierzchni, droga wylotowa z Krakowa w kierunku południowym do Wieliczki. Na znacznej długości była obudowana chaotycznie niską 1-2 kondygnacyjną zabudową, głównie mieszkaniową. Ale od strony wschodniej znajdowało się również kilka zakładów przemysłowych i stacja kolejowa Płaszów.

Droga, licząca do granic miasta 6 kilometrów, miała być wyposażona na części swej długości w torowiska tramwajowe oraz rurociągi wody, gazu i kanalizacji. Żeby sobie z tym skomplikowanym przedsięwzięciem poradzić, powołany został w Dyrekcji specjalny pełnomocnik d/s ulicy Wielickiej. Został nim inż. T. Chudyba. Wyposażony on został w zakresie tej inwestycji we wszelkie kompetencje decyzyjne, zawierał umowy z biurami projektowymi, wykonawcami itp. Miał też do dyspozycji wszystkie działy w biurze. Mimo częściowego wkraczania w me kompetencje, ja osobiście nie byłem angażowany w sprawę ul. Wielickiej.

Co najwyżej pewne informacje uzyskiwałem na operatywkach kierowniczych. Pamiętam, że na jednej z takich operatywek, wszyscy zgodziliśmy się z wnioskiem kol. Chudyby, iż należy zmienić założenia programowe rozbudowy ulicy. Otrzymaliśmy je już gotowe. Oceniliśmy, że szerokość nowej jezdni i proponowane średnice uzbrojenia są za małe, zaś torowiska tramwajowe winny być wydzielone.

Patrzyliśmy, najwidoczniej, z większą perspektywą w przyszłość, niż autor założeń. Ale i tak tej naszej wyobraźni starczyło tylko na 20 lat. W tym czasie nowe osiedla wzdłuż Wielickiej dotarły prawie do Wieliczki, natomiast tramwaj przedłużono do sześciu kilometrów. Zaś w latach 80. wyburzono resztę starej, przedwojennej zabudowy po zachodniej stronie ulicy i poszerzono ją o drugą jezdnię, z którą można już wjechać w XXI wiek.

Drugim takim nietypowym dla nas tematem był Park Kultury i Wypoczynku, jaki miał być urządzony w połowie drogi między Krakowem i Nową Hutą. Było tam kilkadziesiąt hektarów nieużytków i wertepów oraz fragmenty fortów poaustrijskich, aktualnie rozbieranych w celu uzyskania cegły.

W tym czasie pod Chorzowem, na Górnym Śląsku, budowano z rozmachem wielki Śląski Park Kultury i Wypoczynku, jako „zielone płuca” dla ludności aglomeracji. Ktoś pomyślał, że dobrze byłoby i w Krakowie urządzić taki Park, choćby w mniejszej skali. Opracowywano jakieś koncepcje projektowe, według których miał być w nim duży stadion sportowy, liczne boiska do gier, wesołe miasteczko, pawilony gastronomiczne itp.

Tyle, że Kraków pod względem dostępu do zielonych terenów rekreacyjnych był i jest w zupełnie innej sytuacji, niż aglomeracja górnośląska. Mamy w mieście sporo zielonych terenów, wspaniałe Planty i kilka parków, zaś w bezpośrednim sąsiedztwie, od strony zachodniej, duży kompleks parkowo-leśny z Kopcami Kościuszki i Piłsudskiego oraz Ogrodem Zoologicznym. Ale zieleni nigdy za wiele.

Natomiast projektowanie stadionów i rozlicznych obiektów kubaturowych, jakie miały składać się na Krakowski Park Kultury i Wypoczynku, pachniało wyraźnie gigantomanią. Zdecydowaliśmy więc nic nie budować, lecz jedynie zasadzić jak najwięcej drzewek na tym pagórkowatym po fortach i zaniedbanym terenie. Niech sobie te drzewka póki co rosną.

Za pomocą czynów społecznych w ciągu kilku lat uporządkowanych i zadrzewionych zostało ponad 60 hektarów terenu. Dziś to piękny wysoki park z kilometrami alejek spacerowych i rowerowych. Na obrzeżu powstał kompleks budynków AWF z boiskiem tartanowym i halami sportowymi oraz Telewizyjna Wytwórnia Filmowa. Od strony Wisły jest kilka hektarów pracowniczych ogródków działkowych. I mogło by jeszcze powstać np. stacjonarne wesołe miasteczko. Ale czy jest nawet dzisiaj takie zapotrzebowanie?

W 1959 r. rozpoczęła się rozbudowa Nowej Huty, poza obszarem 100-tysięcznego miasta, zaprojektowanego przez generalnego projektanta T. Ptaszyckiego. Jeszcze tylko przez 2-3 lata trwała budowa ostatnich budynków mieszkalnych przewidzianych pierwotnym planem miasta.

Zdecydowano jednak o dalszej poważnej rozbudowie dzielnicy. Pierwszym nowym terenem zainwestowania było osiedle mieszkaniowe Wzgórza Krzesławickie, zaprojektowane przez Miastoprojekt na 4 tysiące izb. W drugiej połowie roku brygady PBM-NH rozpoczęły tam budowę czterech bloków, obejmujących 400 izb.

Równocześnie rozstrzygnięty został ogólnopolski konkurs na projekt urbanistyczny osiedla-dzielnicy Bieńczyce dla około 50 tysięcy mieszkańców. Konkurs zorganizowały pospół stowarzyszenia architektów i urbanistów SARP i TUP i ich przedstawiciele decydowali w głównej mierze o przyznaniu nagród oraz wyborze projektu do realizacji, z pośród nadesłanych prac konkursowych. Było ich kilkanaście, opracowanych przez pojedyncze osoby, lub zespoły projektowe. Zdecydowano o wyborze do realizacji koncepcji projektantki z Warszawy arch. J. Guzickiej.

Ja w jury reprezentowałem inwestora i właściwie jako jedyny wybraną koncepcję oceniałem zdecydowanie negatywnie. Cechowała się ona tym, że wszystkie projektowane na osiedlu budynki były komponowane luźno, jako wolnostojące oraz tym, iż przeważała zabudowa wysoka 8-10 kondygnacyjna.

Nowa Huta T. Ptaszyckiego była zaprojektowana zupełnie odmiennie. Mianowicie główne ulice i Plac Centralny obudowane były w ciągły sposób przez budynki mieszkalne, w których na parterach zlokalizowano sklepy, lokale usługowe i gastronomiczne. Większość tych budynków, potraktowane jako reprezentacyjne, otrzymało specjalny wystrój architektoniczny według ówczesnej mody zwanej socrealizmem. Charakteryzował się on zwrotem do historyzmu oraz architektury monumentalnej polskiego Renesansu z XVII wieku i lansowany był mniej więcej do 1955 r. W drugiej połowie lat pięćdziesiątych był mocno krytykowany i dlatego chyba architekci odwrócili się również od tej zwartej zabudowy obrzeżnej ulic.

Nastąpiła nowa moda zwana neomodernizmem, preferująca architekturę „pudełko-

wa" i luźną zabudowę. Charakterystyczne, że ci projektanci, którzy wcześniej w pełni stosowali się do mody socrealistycznej, potem bezkrytycznie przerzucili się szybko na neomodernizm.

Ja po prostu uważałem, iż należało w dużych zespołach miejskich, przy głównych ulicach i placach, zachować ciągłą zabudowę z usługowymi parterami, oczywiście z modernistycznymi elewacjami, bez gzymsów, attyk, kolumnienek itp. Zostałem jednak w komisji konkursowej przegłosowany, zaś decydującą rolę w wyborze nagradzanej pracy miał prof. W. Cęckiewicz, jeden z wybitnych architektów krakowskich.

Po wielu latach udałem się na zrealizowane już Bieńczyce z aparatem fotograficznym, aby zrobić serię zdjęć do albumu. Nie zrobiłem ani jednego. Stara Nowa Huta, nie mówiąc o Śródmieściu Krakowa, jest pełna urokliwych wnętrz, perspektyw, portali, zieleni, które dadzą się fotografować. Na Bieńczycach niczego takiego nie było. Tramwaj, przemykający nieprzystankowymi ulicami; parterowe pawilony handlowe usytuowane bez składu i ładu; brak jakiegokolwiek placu, czy centrum dzielnicy, gdzie chciało by się pójść; piętrowy dom towarowy „Wanda”, jak zlepek kilku odrębnych pawilonów. A więc to ja chyba miałem rację, wtedy, podczas rozpatrywania prac konkursowych na zespół osiedli bieńczyckich.

Od przejęcia w styczniu 1957 r. przez naszą Dyрекcję funkcji inwestorskich w całym Krakowie, ich zakres nieustannie się poszerzał. Głównie z powodu przygotowywania i uruchamiania realizacji coraz to nowych osiedli mieszkaniowych i robót towarzyszących. Równocześnie ze wzrostem zadań rzeczowych skomplikowała się problematyka przygotowania inwestycji w związku z przejęciem budownictwa powierniczego, zmianami przepisów dotyczących programowania, projektowania i zatwierdzania dokumentacji projektowej, zawierania umów z przedsiębiorstwami wykonawczymi itd. Zmieniły się też tendencje w projektowaniu urbanistycznym i architektonicznym, procedury wywłaszczeniowe itp.

Wszystko to powodowało, że poszczególne działy, zaś zwłaszcza kierownictwo Dyrekcji osiągnęło kres swych możliwości. Dotyczyło to również mnie osobiście. Coraz częściej, z braku czasu, nie brałem udziału nawet w ważnych konferencjach i radach technicznych, organizowanych w biurach projektowych i zdarzały mi się opóźnienia w załatwianiu różnych bieżących spraw.

W tej sytuacji, w połowie 1958 r. wystąpiłem o powołanie w pionie przygotowania inwestycji dodatkowego stanowiska Głównego Inżyniera. Określiłem szczegółowo zakres prac, jakie powinien przejąć od zastępcy dyrektora d/s przygotowania inwestycji. Zaproponowałem też, aby przejął dział prawnowo-wywłaszczeniowy od dyrektora naczelnego, odciążając w ten sposób i jego od nadmiaru prac.

Rozważanie na temat reorganizacji biura potoczyły się jednakże w kierunku podzielenia przedsiębiorstwa na dwie różne, terytorialne jednostki. Jedna miała obejmować Kraków, a druga Nową Hutę. Byłby to więc powrót do sytuacji sprzed 1957 roku. Oponowałem przeciwko temu zdecydowanie, argumentując, że jest bardzo wiele pozytywów w tym, że jest tylko jeden sternik wszystkich inwestycji w aglomeracji krakowskiej. Że należy jedynie się nieco przeorganizować, wzmocnić kierownictwo i niektóre działy, szerzej praktykować powoływanie pełnomocników do dużych, wydzielonych przedsięwzięć, usprawnić pracę itp.

Łatwiej jednak było się dzielić. Więc później, od 1960 roku, były już dwie równoległe działające Dyrekcje Inwestycji Miejskich Kraków I i II. Zaś niedługo potem, tą metodą pączkowania, powstały jeszcze dwie dalsze i oczywiście Zarząd Inwestycji Miejskich, bo ktoś to musiał koordynować.

W lutym 1959 r., gdy już wyraźnie rysowała się opcja podziału przedsiębiorstwa,

złożyłem wypowiedzenie pracy. Ale nie był to powód jedyny, a nawet chyba nie najważniejszy. Przede wszystkim chciałem wreszcie przejść od administrowania bezpośrednio do projektowania. Byłem wszak architektem i do deski rysunkowej ciągnęło mnie, jak „wilka do lasu”. Poza tym chciałem „złapać” trochę wolnego czasu i uporządkować swój stan cywilny. Miałem przecież już 32 lata i wszystkie warunki, by się wreszcie ożenić. Brakowało mi tylko nieco czasu, choćby na znalezienie właściwej partnerki.

Wprawdzie wówczas wiele par kojarzyło się w zakładach pracy, ale w mojej Dyrekcji nie było dla mnie młodej panny na wydaniu. W tym, że musi być młoda, utwierdzały mnie moje znajomości wczasowe. A wczasy były dla mnie prawie jedyną okazją zawierania żeńskich znajomości. Ogiś pary kojarzyły się na dworach królewskich, gdzie roiło się od dworów, czyli panienek z dobrych domów, oraz na przyjęciach i balach na dworach szlacheckich.

W demokratycznej Polsce Ludowej te funkcje matrymonialne spełniały zakłady pracy i wczasy. Ja w ciągu pierwszych siedmiu lat pracy zawodowej na wczasach byłem kilkanaście razy. Prawie za każdym razem poznawałem nowe sympatie. Niewiele brakowało, by jedna z tych znajomości zaowocowała ślubem. Poznaliśmy się na słonecznych wczasach w Karpaczu, gdzie spędzałem urlop na wędrownkach, spacerach i zabawach w 8-10 osobowej grupie. Chyba najmłodszą w tej „paczce” była urokliwa Danusia z Łodzi. Potem nawet nie korespondowaliśmy. Spotkaliśmy się ponownie, zupełnie przypadkowo, po prawie trzech latach na Targach Poznańskich. Następnie, już nie przypadkowo, w Zakopanem, Łodzi, Krakowie.

Po kilku miesiącach, od odnowienia znajomości, miał być nasz ślub. Ale, praktycznie w dniu tej uroczystości, „zaingerowała” moja siostra. Ja zawsze pewny i stanowczy w sprawach zawodowych - w swych sprawach prywatnych byłem raczej niezdecydowany i podatny na dobre rady z zewnątrz. W związku z tym „zaginął” jakiś istotny dokument i formalności ślubne w urzędzie stanu cywilnego nie doszły do skutku. Tak więc moja sytuacja starego kawalera nie uległa wówczas żadnej zmianie i czekały mnie dalsze, rutynowe już „łowy” na wczasowiskach.



**Na kolejnych wczasach**

najlepszych pracowników”, ale nie widziały możliwości nie wyrażenia zgody. Zaproponowałem na swe miejsce mgr J. Łuczyka, doświadczonego, długoletniego fachowca w branży inwestycyjnej i zacząłem przekazywać mu prowadzone przeze mnie sprawy.

Zadziwiające było to, że mnie lat ciągle przybywało, zaś wiek mych kolejnych sympatii nieodmiennie oscylował między 19-22 lat. Wydedukowałem tedy, zapewne słusznie, że starsze są po prostu zajęte i że trzeba się wreszcie zdecydować, oświadczyć i uwinąć z ożenkiem, aby na kolejnych wczasach te młode nie zaczęły się zwracać do mnie per „wujku”. Lecz wpieryw należało się rozwieść z mą dotychczasową „ukochaną” pracą.

Moje wypowiedzenie zostało przyjęte. Wprawdzie opiniujące podanie organizacje tj. RM i POP stwierdziły, że biuro traci „jednego ze swych